





Chciałbym, żebyś wiedział, iż zastanawiając się swego czasu, od czego by zacząć, postanowiłem, że najlepiej będzie, jeśli na początek zajmę się sprawami, o których z pewnością nie możesz wiedzieć. Chociaż nie ulega wątpliwości, że moja pierwsza próba napisania do ciebie spełzyła właściwie na niczym i mimo usilnych starań nie udało mi się przebrnąć nawet przez pierwsze zdanie, to jednak nie uważam, żeby ten czas był stracony, gdyż doszedłem do nader ważnego wniosku, co samo w sobie jest już nie lada wyczynem, że w naszym przypadku początku jako takiego być nie może i w najlepszym razie można podać kilka możliwości, wariantów, stanowiących niejako przykład czy propozycję tego, jaki początek z prawdziwego zdarzenia mógłby być. Niemniej, zamierzam wykorzystać to z pozoru niefortunne zdanie, które w pewnym stopniu okazało się ślepą uliczką, i żeby nie być gołosłownym, bezzwłocznie przytoczę je tobie w tym oto miejscu:

„Nasze miasto niewiele się zmieniło...”.

I chociaż powyższe zdanie (jak widzisz, niedokończone) na pierwszy rzut oka wydaje się miałkie, a nawet zupełnie niepotrzebne, to jednak ciebie powinno zainteresować, przynajmniej takie odnoszę wrażenie. Zapewne szczególnie jedno słowo cię zastanowi, a mianowicie „niewiele”, gdyż właśnie w nim zawiera się to, o czym nie możesz wiedzieć. Jesteś skazany na mniej czy bardziej fantastyczne domysły, możesz wgryzać się w nie wyobraźnią, ale tak czy inaczej połamiesz sobie zęby i chcąc nie chcąc, musisz zawierzyć mojej relacji i wyjaśnieniom

wszystkich znaczeń, jakie kryje w sobie niepozorne, miękkie słowo „niewiele”.

Jakie jest nasze miasto, nie muszę ci tłumaczyć, i dlatego już w pierwszym zdaniu celowo umieściłem słowo „zmieniać się”, by dać do zrozumienia, że właśnie zmiany, jakie zaszły od czasu twojej nieobecności (może to niezbyt właściwe słowo, ale wiesz, w czym rzecz), będą tu, przynajmniej na początku, odgrywały niebagatelną rolę.

Jednakże nie będę się bawił w wyliczanie wszystkiego, co zawierają w sobie na razie dość mgliste i nieprecyzyjne słowa „niewiele” i „zmieniać się”, byłaby to zbędna i nudna litania, a przejdę od razu do spraw bardziej istotnych dla nas obu, co będzie zresztą zgodne z zamierzonym charakterem mej odpowiedzi. Tak, właśnie „odpowiedzi”, gdyż czytając, nie możesz zapominać, że jest to ni mniej, ni więcej, tylko odpowiedź na stale zadawane przez ciebie pytanie.

Nie tracąc czasu, zaraz zajmę się bliższym wyjaśnieniem tych słów, ale pozwól, że przedtem napomknę o czymś, czego wprawdzie nie można zaliczyć do zmian, wręcz przeciwnie – pod tym względem nasze miasto nic a nic się nie zmieniło – a mianowicie o tym, że po gwałtownym i męczącym sezonie, kiedy wiatry wymiotą już resztki lata z opustoszałych ulic, a szyby w łodziarniach zamaluje się na białą, nadal cicho tu, spokojnie, i tylko czasem kapryśne po swojemu morze huczy, jak zawsze na wiosnę lub jesienią. Nie wspominam o tym, żeby narzekać, bo przecież to całkiem fajnie, że morze

sroży się i kotłuje po dawnemu, ale widzisz, stała się rzecz dziwna, gdyż ni z tego, ni z owego przestało zamarzać. Nie wiem, dlaczego stało się to tak nagle, bo w końcu klimat nie zmienił się tak dalece i zdarzają się – jak to świętej pamięci dziadzio mówił – syberyjskie mrozy, ale nie zamarza i już. Jest w tym jednak coś niezrozumiałego i czasem tak sobie myślę, że ma pewien związek z naszą sprawą...

Pomijając fakt, że morze przestało zamarzać, to w przeciwieństwie do tego, co w tym pierwszym, niedokończonym zdaniu napisałem ogólnie o naszym mieście, w naszych dawnych rewirach sporo zmian, krótko mówiąc – stale czegoś ubywa. Tak, tylko ubywa, jeśli nie liczyć szkaradnego jak bunkier, bezkształtnego domu, jaki postawiono na miejscu gruzów przy twojej ulicy. Poza tym wycięto moje lipy, i to akurat kiedy pokryły się nieśmiałą, mechatą zielenią. Dobrze, że z jednej strony ulicy, choć pech chciał, że właśnie po mojej. Ich los podzieliły czterookie latarnie gazowe, które zniknęły któreś nocy, a stary latarnik już w ogóle się nie pokazuje. Tylko czasem widuję go przy dworcu, jak siedzi skulony na ławce, gapiąc się bezmyślnie na przejeżdżające z hukiem pociągi. Mówią, że nie odzywa się do nikogo. Pewnie obrażony na cały świat. Nigdy wprowadzie go nie lubieś, bo pierwszy powiedział ci o twoim ojcu, pamiętasz chyba, rzuciłeś się wtedy na niego z pięściami i okładając kułakami po brzuchu, bo wyżej nie mogłeś dostać, krzyczałeś: „To kłamstwo! To kłamstwo! To kłamstwo!”. Jednak musisz przyznać, że bez niego to jakoś głupio. Po latarniach

przyszła kolej na ogródki przed domami, przez które przebiega teraz wąski chodnik, gdyż poprzedni wchłonęła poszerzona ulica. Nie, asfaltu nie ma, po dawnemu jest gruba kostka. Natomiast miejsce latarni zajęły smołowane drewniane słupy, na których zawieszono niewymyślne, ale za to elektryczne oświetlenie, czyli duże żarówki kryte u góry metalową emaliowaną miseczką, przypominającą zwykłą spluwaczkę. Okoliczne domy stoją po dawnemu, no, może tylko trochę więcej tynku z nich odpadło, bo łuszczą się jak cebula.

Ludzi też ubyło, a ściśle mówiąc, odeszli ci, których znaliśmy, i choć na ich miejsce przybyli nowi, to jednak o nich lepiej nie wspominać. O swojej babci pewnie już wiesz, jednak na wszelki wypadek czuję się w obowiązku ci donieść, że wyjechała nie wiadomo dokąd, nikogo zresztą o swej nagłej decyzji nie uprzedzając. Dopiero po pewnym czasie, kiedy wścibscy jak zawsze sąsiedzi zaczęli się niepokoić ciszą i wiecznie zamkniętym oknem od ulicy, przy którym tak bardzo lubiła wysiadywać, i zaczęli podejrzewać, że umarła po cichu, jak to bywa z samotnymi, zgorzkniałymi staruszkami, dopiero wówczas, gdy już gruchnęła wieść, że coś sobie zrobiła, wyłamano drzwi, ale w środku nikogo nie znaleziono. Wprawdzie milicja profilaktycznie zaplombowała mieszkanie, ale nie wiezieć jakim cudem rozkradziono migiem meble, dywan, ubrania, garnki, talerze, wszystkie twoje rzeczy i krótko mówiąc – nic nie zostało, bo czego nie dało się wynieść, to bezlitośnie zniszczono, jak chociażby palmę w salonie

czy kafelki w kuchni, które ktoś potłukł młotkiem. Nawet ściany odarto z tapet. Ale wiedz, że najcenniejszą rzecz udało mi się ocalić. Jak to bywa, pomógł mi w tym zwykły przypadek. A może i nie taki zwykły...

W każdym razie los zrządził, że znalazłem album Borkowskiego, porzucony przez kogoś przy oknie waszej piwnicy. Wprawdzie mocno podniszczony, ubabrany ziemią, a i deszcz skropił go obficie, ale na szczęście tylko niektóre napisy zamazały się bezpowrotnie, natomiast zdjęcia całe, w większości jak nowe. Co za szczęście! Kiedy tylko zapragnę, biorę go do ręki i przeglądam. A zgadnij, od kogo zaczynam. Bo wcale nie od Kokoschki czy mego dziadka, lecz... nie śmiej się, mówię najzupełniej serio – zaczynam od Madame Lulu. Tak, właśnie od niej, a wcale nie podejrzewaliśmy, ba, nigdy by nam to do głowy nie przyszło, że i ona może tam być. Właściwie to nie ma się czemu dziwić, w końcu nie znaliśmy jej nazwiska. Jak na to wpadłem? Zwyczajnie: umarł jej ojciec i w gazecie były nekrologi. W gazecie! Okazało się, że to był nie byle kto – zasłużony działacz polonijny w Wolnym Mieście. Tak napisano.

Pewnie zaskoczyło cię, że od niej zaczynam. Trudno to wytłumaczyć, bo przecież nie tylko dlatego, że jej już nie ma, gdyż na liczne interwencje sąsiadów znalazła się tam, gdzie jej miejsce, ale również z tego powodu, że właściwie nadal nie mogę rozgryźć spraw z nią związanych. Nie dlatego, żebym nie chciał, tylko po prostu urwał się ślad i nic na to nie poradzę. Jest wprawdzie szewc, który po

dawnemu sterczy w oknie, coś tam niemrawo dłubie przy starych butach, pije od czasu do czasu, ale i on zmarniał jakoś, nie bajdurzy jak ongiś, w milczeniu zeluje czas, jaki mu jeszcze pozostał, a na domiar złego zdaje się niczego nie pamiętać. Korpys też jeszcze żyje, ale mówią, że jego godziny już policzone, bo rozpił się zupełnie od czasu, kiedy żonę przegonił i sprzedał konie. Owszem, czasem przemawia na rogu, ale nietęgo mu idzie: głos stłumiony, chrapliwy bełkot, kaszel, nic więcej. Nikt już nie słucha tych jego oracji. Można zresztą odnieść wrażenie, że gada od rzeczy, bo mamle wciąż o tym samym, nie śledzi wi-dać na bieżąco ciekawych przemian w życiu politycznym naszego kraju. Nie jestem przekonany, czy ciebie w ogóle zainteresuje to, o czym nieustannie bełkocze, do czego jak maniak powraca w swych nudnych już i żalosnych wystąpieniach. Chyba nie, bo nie znając pewnych fak-tów, nie jesteś w stanie doszukać się składu i ładu w tej pijackiej paplaninie. Bo i cóż można zrozumieć z jego wa-riackiej opowieści o molo, które niby to odpłynęło w sińa dal? Stek bzdur, powiesz, a ja na razie nie sprostuję... Są więc zdjęcia, nazwiska i daty, ale nic o nich nie wiadomo. Natomiast Henia, który z pewnością dużo wie, widuję bardzo rzadko, zazwyczaj jak skulony wraca chyłkiem do domu, jakby się bał, że go ktoś zobaczy. Kiedyś zagadną-łem go na ulicy, bo u siebie nikomu nie otwiera, ale uciekł w te pędy, wystraszony, udając, że mnie nie zna, albo rzeczywiście mnie nie poznając, bo w końcu wyrosłem trochę i w ogóle zmieniłem się. Też byś mnie pewnie nie



poznał. Więc może dlatego od niej zaczynam, chociaż nie wszystko da się wytłumaczyć słowami. Pozostaje nieodgadniona jak morze, które nagle przestało zamarać.

Do albumu często zaglądam. Potrafię całymi godzinami ślęczeć nad nim przy biurku i wertować w nieskończoność jasnobrązowe grube karty, nie odczuwając zmęczenia czy nudy. Prawdę mówiąc, w ogóle niechętnie się z nim rozstaję i nawet jeśli gdzieś wychodzę, to z reguły zabieram go ze sobą. Jest w nim jeszcze tyle spraw niejasnych, przewija się w nim tyle osób, o których właściwie nic nie wiem, że nawet przez chwilę nie mogę przestać o tym myśleć, i chociaż w gruncie rzeczy tak niewiele działałam, żeby rzucić choć odrobinę światła na te zawile sploty czasu przeszłego (które, widać, podlegają jakiejś tajemnej gramatyce), to jednak nie można postawić mi zarzutu, że zobojętniałem czy też dałem za wygraną i zwyczajnie machnąłem na wszystko ręką. Byłoby to krzywdzące.

Przede wszystkim musisz wziąć pod uwagę, że zostałem sam. Poza tym, jak już wspomniałem, stale kogoś lub czegoś ubywa. Nie powiesz chyba, że jest to jałowe tłumaczenie się i wyłganie z obowiązku. Tak sobie myślę, że może jednak, zamiast usprawiedliwiać się, powinienem ci coś opowiedzieć o sobie, bo jednak trochę czasu minęło i – jak mi mówią – zmieniłem się nie do poznania.

Tak, u mnie dużo zmian... Przede wszystkim już od pewnego czasu na spacerach chodzę sam. To nawet lepiej. Nie czuję się skrępowany, mogę iść, gdzie mi się żywnie podoba, i wracać, kiedy tylko przyjdzie mi na to ochota.

A i dla innych to ulga. Z początku spacerzy ze mną sprawiały im przyjemność, ale z czasem stały się uciążliwe jak kula u nogi, i choć starali się niczego po sobie nie okazywać, to jednak wyczuwałem ich niechęć, słyszałem znaczące westchnienia, widziałem kwaśne miny. Nie mam do nich o to żalu. O wiele bardziej drażniło mnie to, że do niedawna, mimo pozornej swobody, śledzili każdy mój ruch. Czułem to na każdym kroku. Wszędzie były ich oczy i uszy. Całe szczęście, że już wcześniej przestali dręczyć mnie pytaniami, widząc, że wyprowadzają mnie one z równowagi. Niekiedy tylko informowali, zwłaszcza gdy przychodził ktoś nowy. Mówili wówczas: „To jest pan iks, a to jego żona, twoja chrzestna matka”. Albo: „Przyszedł pan Andrzej, twój dawny kolega z klasy”. Na samym początku trudno się było zorientować i zapamiętać, kto jest kto, ale po pewnym czasie poznałem wszystkich domowników, a najlepiej stryja, który jest lekarzem i ze względu na mnie zamieszkał z nami. Poznałem też sąsiadów i większość ulic miasta, w którym mieszkamy. Musiałem uczyć się wszystkiego na nowo, więc dowiedziałem się, że miasto leży nad morzem, które nazywa się Bałtyk. Moją ojczyzną jest Polska, która jest republiką ludową, położoną w środkowej Europie. Miasto jest odgródzone od morza szeroką plażą i wspaniałym parkiem, który bardzo polubiłem. Chodzę tam na długie spacerzy. Codziennie.

Tak więc uczyłem się wszystkiego od początku. Było to nawet ciekawe i zabawne do chwili, kiedy zorientowałem się, że mimo postępów w tej – nazwijmy to – nauce

coraz mniej wiedziałem o sobie. Oczywiście dlatego, że byłem w stanie zadawać coraz więcej pytań, na które nikt nie mógł mi wyczerpująco odpowiedzieć. Najbardziej niepokojące były moje sny, bo ustawicznie pojawiały się w nich osoby, których nie znałem, i miejsca, gdzie nigdy nie byłem. Przynajmniej tak mi się wydawało. Nie mówiąc o tym, że niesamowicie zagadkowa treść tych sennych widziadeł, tak swoiście przeinaczona, zdeformowana, z niczym, dosłownie z niczym mi się nie kojarzyła. Zafascynowany ich magią, chwyciłem się snów jak ostatniej deski ratunku, łudząc się, że odnajdę tam siebie i to wszystko, czego wówczas nie miałem. Próbowałem zestawiać je ze sobą, starać się znaleźć ich wspólne, powtarzające się cechy, zbierać detale, drobiazgi pozornie pozbawione znaczenia, układać je w jakiś pełniejszy obraz. Z czasem rzeczywiście udało mi się ustalić parę powtarzających się wątków, a nawet określić pewne stałe cechy osób w nich występujących. Nie było to łatwe. Raczej bardzo wyczerpujące. Zdobywałem się na maksymalne skupienie, co powodowało, że przez pewien czas czułem się gorzej i senne zmory przychodziły nawet w dzień. Było to tak, jakby po przebudzeniu sen jeszcze trwał, nakładał się na rzeczywistość jak barwna ruchoma klisza, by dopiero po dłuższej chwili prysnąć niczym bańka mydlana. Potem zdarzało się to coraz częściej i granica snu stawała się w coraz mniejszym stopniu wyczuwalna, możliwa do określenia. Zjawiały się w pokoju nagle, bezszelestnie, zwykle pojedynczo. Siadały gdzie popadnie, na łóżku, na

szafie czy na lampie, a czasem tylko odbijały się w lustrze albo rzucały migotliwy cień, obserwując każdy mój ruch. Bałem się wówczas nawet oddychać. Udawałem, że ich nie widzę. Czasem coś mówiły, zwykle bezgłośnie poruszając ustami jak zdychająca ryba, albo był to niezrozumiały bełkot, jak to bywa we śnie. Niekiedy spotykałem je też podczas spacerów. Niektóre chodziły za mną krok w krok. Chociaż z początku napawały mnie wstrętem i obrzydzeniem, z czasem przywykłem do ich odrażającego wyglądu i niepojętego zachowania. Z reguły pojawiały się w tych samych miejscach i muszę przyznać, że nieomylnie potrafiłem wyczuć, kiedy tam będą. Na przykład ci topielcy z bagien. Zawsze widziałem ich razem przy zamkniętym na cztery spusty bufecie na opustoszałej plaży. Stali w ociekających czarną mazią mundurach, pili piwo i śpiewali niemieckie piosenki. Jak tylko mnie zobaczyli, uciekali z powrotem do pobliskiego bagna i było widać tylko czubki ich głów z zielonymi jak skrzyp włosami.

Najczęściej jednak spotykałem dziwnego starca, siedzącego zawsze na tej samej, włochatej wydmie na plaży, którego już z daleka rozpoznawałem po nieodłącznej marynarskiej czapce z rozerwanym daszkiem. Chociaż stale wydawało mi się, że go już skądś znam, to jednak przez dłuższy czas nic o nim nie wiedziałem. Dopiero znacznie później, kiedy już go nie było, natrafiłem przypadkowo na książkę o Münchhausenie, a w niej znalazłem jego podobiznę. Był już bardzo stary i pewnie dlatego nic nie mówił. Ale to wcale nie znaczy, że nie było między nami

porozumienia. Było, jak najbardziej, tylko może na trochę innej zasadzie, nie słownej w każdym razie.

Siedział na tej samotnej jak on wydmie, zawsze zapatrzonej w morze, które migotliwymi cieniami odbijało się w jego bladobłękitnych oczach, a gdy dotykałem lekko jego ramienia, dając znać, że już przyszedłem, że jestem, to nie odrywając wzroku od morza, stopą wygładzał piasek przed sobą i rysował na nim cienką metalową laseczką. „Rysował” to może nieodpowiednie słowo, bo i trudno, więcej – jest rzeczą niemożliwą te pozornie nic nieznaczące kreski i koła opisać słowami, nawet w przybliżeniu oddać całą głębię ich znaczeń. Z początku niczego nie rozumiałem. Dlatego też cierpliwie uczył mnie swego tajemnego alfabetu, zaczynając od rzeczy najprostszych, przedmiotów, właściwie nie przedmiotów, lecz pewnych form, pojęć, które dopiero z czasem przybrały bardziej klarowną postać, by stać się, powiedzmy, żółcią, czerwienią czy babim latem. Nić porozumienia, jaka między nami się wytworzyła, doskonale obywatła się bez słów i choć z początku drażniło mnie trochę, że w ogóle się do mnie nie odzywa (tylko gdy dotykałem jego twarzy, żeby się upewnić, że jest naprawdę, śmiał się bezgłośnie, otwierając i zamykając bezzębne, lepkie usta, właśnie jak zdychająca ryba), to jednak, gdy już zrozumiałem wszystko, zdziwiłoby mnie, gdyby nagle to zrobił. Czasem odnosiłem wrażenie, że czyta w moich myślach tak, jak ja w jego piaskowych rysunkach, gdyż zdarzało się, że błyskawicznie przenosił nawet te najbardziej skryte na piasek. To on